

**Wywiad z Henrykiem Kowalem „Henrykiem”,
żołnierzem plutonu Felek, 2 kompanii Rudy Batalionu „Zośka”**

Pana Henryka Kowala poznałam przy okazji obchodów 60 rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego, wiosną 2004 roku. Późno, jak na moją fascynację batalionem „Zośka”, którego losami zainteresowałam się mając 19 lat, tuż po lekturze „Zośka i Parasol” Aleksandra Kamińskiego. Jednak dopiero otwarcie Muzeum Powstania Warszawskiego latem 2004 roku, a co się z tym wiąże poznanie wielu młodych ludzi zainteresowanych tematyką zrywu sierpniowego, spowodowała, że mogłam poprzez te znajomości dotrzeć do żyjących uczestników Powstania Warszawskiego.

Pan Henryk był właśnie jednym z żołnierzy batalionu „Zośka”, którego wówczas, obok innych jego kolegów poznałam. Od samego początku bardzo się polubiliśmy. Tamtego lata wspólnie przemierzałam z nim cały szlak bojowy batalionu, spotykając się z nim przy okazji licznych, zośkowych rocznic. Zawsze znajdował dla mnie czas na rozmowę, cierpliwie udzielając odpowiedzi na stawiane przeze mnie pytania. To on zachęcił mnie do przyścia na spotkanie Społecznego Komitetu Opieki nad Grobami Poległych Żołnierzy Batalionu Zośka i wspierał przed Zarządem pomysł naprawy i odnowienia grobu Jadwigi i Pawła Romockich, rodziców Andrzeja „Morro” i Janka „Bonawentury”. Renowacja pomnika przebiegła pomyślnie, a w mroźny, listopadowy poranek 2007 roku Pan Henryk obok Jana Maruszewskiego towarzyszył mi w jego komisyjnym odbiorze. Nie odmówił, kiedy poprosiłam, aby pojawił się na spotkaniu uczestników I edycji Międzynarodowego Programu Staży Parlamentarnych z Niemiec, którzy w 2007 roku zwiedzali ze mną Muzeum Powstania Warszawskiego. Dzięki jego obecności i wspomnieniom uczestnicy stażu, dalej już na własną rękę szukali informacji dotyczących Powstania, powracając do muzeum jeszcze wiele razy razem ze swoją rodziną oraz przyjaciółmi.

Na wywiad z Panem Henrykiem, dotyczący jego udziału w Powstaniu oraz dalszych, powojennych losów umówiłam się, w jego domu tuż przed Świętami Bożego Narodzenia 2005 roku. Taśma z nagraniem na nią wywiadem przeleżała nieruszana w mojej szufladzie przez 5 lat. Dziś postanowiłam ją odtworzyć, a zapisane na niej słowa przelać na papier i wydrukować w naszym stowarzyszeniowym piśmie. Tym samym chciałam podziękować Panu Henrykowi za ciepło, uśmiech i dobre słowo, które przy każdym spotkaniu kieruje w moją stronę.

Anna Roczowska: Jak został Pan żołnierzem Batalionu Zośka?

Henryk Kowal: Mieszkałem z rodzicami w domu przy ul. Oczki 4, w tej samej klatce schodowej, co Stasiek Krawczyk¹. On na parterze, ja na III piętrze. Niedaleko nas, w budynku administracyjnym szpitala przy ul. Lindleya mieszkał też „Kuba” Okolski² i dwaj bracia Dracowie: Jan i Edmund. Zналиśmy się, więc wszyscy z podwórka, graliśmy razem w piłkę, organizowaliśmy zawody sportowe. Mało tego, tuż przed wojną na przeciwko naszego bloku zrobiono świetlicę, gdzie wystawialiśmy teatr, a także uczyliśmy się tańczyć. Wszyscy byliśmy bardzo zgrani.

Któregoś dnia, podczas wspólnego powrotu do domu, Stasiek Krawczyk wyznał mi, że wspólnie z Kubą prowadzą magazyn broni. Zaproponował mi, żebym do nich dołączył. Pomyślałem wtedy, że skoro na ulicach Warszawy codziennie są łapanki, jest niebezpiecznie i mogą mnie i tak złapać i męczyć, to wolę już, żeby za coś, co faktycznie zrobiłem mnie męczyli. Dlatego zgodziłem się wspólnie z nimi ten magazyn prowadzić. I tak trafiłem do plutonu Felek. Jak się później okazało, już w Powstaniu, poza Kubą, mną i Staśkiem bracia Dracowie też należeli do tego samego plutonu, o czym wcześniej nie wiedzieliśmy. Taka to była tajemnica!

A.R: Wszyscy w tym samym czasie zaangażowaliście się w działalność konspiracyjną?

H.K: Nie, nie wszyscy. Stasiek Krawczyk i Kuba przed wojną byli razem w gimnazjum nr 3 na ul. Śniadeckiej i tam należeli do 80 drużyny harcerskiej. 7 września 1939 r. zgodnie z rozkazem wyszli z Warszawy kierując się na wschód w grupie około 100 osobowej i jak wrócili to od razu zajęli się działalnością konspiracyjną, tj. roznoszeniem ulotek, wybijaniem szyb u fotografów, czy tworzeniem różnych napisów na ścianach. Ja przyszedłem do nich dopiero w 1942 roku, bo początkowo chodziłem do szkoły i uczyłem się.

A.R: Nauka była wtedy dla Pana ważna?

H.K: Mając około 12 lat miałem rozmowę z tatusiem, który powiedział mi, że jako zwyczajny robotnik nie może wiele mi zapewnić, a to, co najlepszego może dla mnie zrobić to utrzymywać mnie dotąd, dopóki będę się uczył. Wy tłumaczył mi, że to, czego się sam nauczę będzie moim przyszłym majątkiem. I to, co wtedy ojciec mi powiedział to do mnie trafiło, dlatego od początku chodziłem do szkoły i uczyłem się.

A.R: Kończył Pan szkołę na tajnych kompletach?

¹ Stanisław Krawczyk „Stasiek”, żołnierz plutonu „Felek”, II kompanii „Rudy”, zm.2 lipca 2008 r.

² Konrad Okolski „Kuba”, dowódca plutonu „Felek”, II kompanii „Rudy”, zginął 11 sierpnia 1944 r. na ul. Kolskiej.

H.K: Tak. Przed wojną chodziłem do IV męskiego gimnazjum im. gen. Jasińskiego i jak wojna wybuchła to nie miałem zrobionej IV klasy gimnazjum. Kończyłem ją na tajnym nauczaniu. Aby uzyskać oficjalną tzw. małą maturę ukończyłem powtórnie 4-tą klasę w szkole pod nazwą Korespondencja Handlowa, prowadzoną przez profesorów tego gimnazjum za zgodą Niemców, a po jej skończeniu poszedłem do liceum kolejowego, które było na dość wysokim poziomie, bo uczyli tam m.in. nauczyciele ze słynnego wówczas Wawelberga. Takiego wysokiego poziomu nauczania jak tam nie miałam później nawet na studiach.

A.R: Co pamięta Pan z ostatnich dni lipca 1944 r.?

H.K: Od 1 lipca 1944 r. byliśmy całym plutonem na obozie szkoleniowym - takiej partyzantce - cały czas przemieszczając się po lasach pod Wyszkiem. Byliśmy tam około 30-osobową grupą w mundurach i z bronią. Pamiętam, że któregoś dnia, spotkaliśmy w lesie cały oddział ludzi spod Wilna. Jak się później okazało prowadził ich por. „Dolina”³ i my cały jeden dzień szliśmy z nimi w kierunku Warszawy. Oni się od nas na drugi dzień odłączyli i przez Modlin poszli do Kampinosu, a my przez Radzymin wróciliśmy do Warszawy.

A.R: Dostaliście rozkaz powrotu?

H.K: Tak, 24 lipca 1944 r. łącznik przywiózł rozkaz powrotu do Warszawy i my się do niego zastosowaliśmy.

A.R: Co jeszcze Pan zapamiętał z ostatnich dni przed wybuchem Powstaniem?

H.K: Pamiętam na przykład, że panika wśród Niemców była duża. Wszędzie widać było Niemców, którzy grupami wracali ze wschodu. Kiedy wracaliśmy z Wyszka to przez jakiś czas jechaliśmy wozem, na którym ukrytą mieliśmy broń. Wtedy właśnie 4 takich Niemców, dołączyła do nas i razem z nami tym wozem w kierunku Warszawy jechali.

Potem jak już wróciliśmy do Warszawy, to mieliśmy zakaz jej opuszczania. Mieliśmy czekać na dalsze rozkazy. 26 lipca zwołana została zbiórka u Józia Szamborskiego na Śniadeckich. Tam był nasz lokal kontaktowy. Ale wtedy posiedzieliśmy tylko trochę i kazali nam wracać do domu.

A.R: I nadszedł 1 sierpnia 1944 r.

H.K: Tak, wtedy 1 sierpnia przyszła do mnie i Staśka Krawczyka łączniczka i przekazała, że o 16.30 mamy być w fabryce Telefunkena na Woli. Szliśmy tam razem ze Staśkiem, bo tak

³ por. Adolf Pilch, pseudonim „Góra”, „Dolina”; cichociemny, jeden z dowódców oddziałów Armii Krajowej, walczył w ponad 200 bitwach i potyczkach, w zdecydowanej większości zwycięskich. W lecie 1944 r., w obliczu szybkiego zbliżania się frontu wschodniego w wyniku Operacji Bagration, szczęśliwie przeprowadził 861 żołnierzy wraz z taborami - ponad 150 furmanek - 400 kilometrów na zachód w stronę Warszawy i przekroczył rzekę Wisłę pod Nowym Dworem Mazowieckim. Odznaczony orderem Virtuti Militari V klasy oraz czterokrotnie Krzyżem Walecznych, autor wspomnień pt. "Partyzanci trzech puszczy", zm. 26 stycznia 2000 r. w Londynie.

jak mówiłem mieszkaliśmy obok siebie. Stasiek miał buty wojskowe, a ja taką bluzę zieloną z kołnierzem. Tam w Telefunkenie spotkaliśmy wszystkich.

A.R: Czy idąc z waszych mieszkań przy Oczki 4 na Mireckiego spotkaliście jakieś patrole niemieckie, albo byliście świadkami jakiejś strzelaniny?

H.K: Nie, od 16.00 do 16.30 nie było na tej trasie żadnych zakłóceń, mimo że patrole niemieckie były zdecydowanie zwiększone. Do Telefunkena doszliśmy jednak bez żadnych problemów. Potem dowiedzieliśmy się już na miejscu, że chłopaki z IV drużyny mieli potyczkę z Niemcami na skrzyżowaniu Grzybowskiej i Towarowej, ale to już musiało być jak przeszliśmy przez ten rejon.

A.R: Co działo się na miejscu jak już dotarliście na punkt koncentracji?

H.K: Pierwszego dnia Powstania niewiele się u nas działo. Dostaliśmy broń, przydział, ustawiliśmy barykadę z przewróconych tramwajów i 2-3 wózków kolejki, którą wywożono gruz z getta. Przez boisko Skry i cmentarz żydowski doszliśmy do bramy na ul. Okopowej i tam przy tej bramie, która wyjęta była z nawiasów spędziliśmy noc. Tam też spotkałem dwóch swoich kolegów z gimnazjum, którzy okazało się, że są z Miotły, ale nie dotarli na miejsce swojej zbiórki i po rozmowie z naszym dowództwem zostali dołączeni do naszego plutonu Felek.

A.R: Jak wyglądały kolejne dni Powstania?

H.K: 2 sierpnia rano ogłoszono alarm, ktoś krzyknął, że czołgi jadą Okopową. Ja miałem granat gamona i dlatego pobiegłem pod mur i z innymi zaczęliśmy rzucać granatami w stronę jadącego czołgu. Mur był jednak wysoki i nie wiedzieliśmy czy we właściwym kierunku rzucałyśmy, dlatego ktoś, kto stał na czujce, wysuwając oczy nad mur instruował nas czy mamy rzucać granatami bliżej czy dalej. Około 9.00 było po wszystkim. Zośka zdobyła dwa czołgi. Kuba i Anoda⁴ wskoczyli zaraz do jednego z nich i zaczęli wszystko z tego czołgu wyrzucać. Anoda wyciągnął też karabin maszynowy.

Za chwilę przybiegła łączniczka do Kuby z rozkazem od dowództwa, że będziemy zdobywać szkołę na Spokojnej. Anoda zarządził zbiórkę celem pobrania amunicji i poszliśmy w stronę szkoły w zwartym szyku. Po ugrupowaniu się do ataku odkryli nas Niemcy. Padł strzał i jako pierwszy ranny odłamkiem gruzu z muru w oczy został kolega, który stał najbliżej wyjścia z bramy. Wydawało mi się, że miał pseudonim Bury, ale potem jak szukałem go u nas, to takiego nie znalazłem w spisie żołnierzy Baonu Zośka.

⁴ Jan Rodowicz „Anoda”, pfm pchor., uczestnik akcji pod Arsenalem., przeszedł cały szlak bojowy Batalionu „Zośka” przez Wolę, Stare Miasto, Śródmieście, Czerniaków, aresztowany po wojnie, zginął tragicznie w 1949 r.

Nastąpił atak, Świst⁵ wskoczył na dach z karabinem maszynowym, ale ten mu się zaciął. Ja z kolegami z Felka atakowaliśmy szkołę od ul. Kolskiej. I tam podczas tego ataku, jeden z kolegów został ranny, zaraz potem drugi i za parę metrów ja, jako kolejny dostałem w płuco i obojczyk. Pamiętam miałem takie wrażenie, że rękę mi urwało, ale patrzę, nie, ręka jest, wisi, nie urwało mi jej.

A.R: Co się z Panem dalej działo?

H.K: Zaraz podbiegły do mnie dwie sanitariuszki i stamtąd pomogły mi wyjść na Kolską, zabandażowały mnie i dały mi zastrzyk przeciwtężcowy. Jak mnie opatrywały to widziałem jak wszystkich tych Niemców koledzy ze szkoły wyprowadzają. Szkoła została zdobyta.

Chwilę później razem z innymi rannymi zawieziono mnie samochodem do szpitala Karola i Marii na Lesznie. Tam przysłała Pani Stasia Kwaskowska⁶ i wypytywała mnie o to jak się nazywam, z jakiej jestem drużyny itp., Co było dalej nie pamiętam, bo albo zasnąłem albo z upływu krwi zemdlałem, bo muszę przyznać, że krew miałem wtedy wszędzie.

Jak się obudziłem, to był już 4 sierpnia wieczorem. Tego dnia przyszedł do mnie i innych rannych Anoda z dwoma kolegami z Zośki i wtedy już nam po cichu powiedzieli, że zostaniemy oddani w ręce niemieckie, bo nam z terenu szpitala kazali się już wtedy wycofać.

A.R: Kiedy Niemcy przyszedli do was do szpitala?

H.K: Zaraz na drugi dzień rano sanitariuszka zdążyła mi tylko umyć twarz i chwilę później byli już Niemcy. Było ich dwóch, w niemieckich mundurach, weszli do budynku i zaczęli strzelać z okna. Zaraz wszedł do środka oficer niemiecki i bardzo ich za to zbeształ, bo zdaje się strzelali do swoich. Za chwilę ich zresztą stamtąd wygonił. Wieczorem Niemcy do szpitala wrócili, tym razem z tłumaczem, który powiedział, że za 15 minut szpital zostanie podpalony. Wszyscy rzucili się, więc do wychodzenia z sali. Część osób, tych, która nie mogła ruszyć się z miejsca i leżała w łóżkach zaczęła prosić o pomoc, żeby ich wyciągnąć na zewnątrz. Ja na szczęście podniosłem się o własnych siłach i zacząłem się ubierać.

A.R: Pamięta Pan, w co był wtedy ubrany?

H.K: Tak, pamiętam. Miałem na sobie długą, szpitalną koszulę i kalesony zawiązywane na troczki. Co ciekawe w kieszeni koszuli, zapiętej na agrafkę miałem zawinięty w bibułę mój zegarek, który zalany był krwią i nie chodził. Do dzisiaj zresztą mam ten zegarek, służył mi jeszcze parę lat po wojnie. Na głowę założyłem koc, bo pomyślałem, że w nocy może być

⁵ Stanisław Sieradzki „Świst”, sierż. pchor. Armii Krajowej, żołnierz plutonu "Felek" II kompanii "Rudy" Batalionu "Zośka"; zm. 16 lutego 2009 r.

⁶ Stanisława Kwaskowska „Pani Stasia”, dyplomowana pielęgniarka, sanitariat Kedywu KG AK, opiekowała się żołnierzami Zgrupowania Radosław w okresie 1939-1944 w warszawskich szpitalach

zimno. Z kolei na nogach miałem tylko swoje wojskowe skarpetki. I tak ubrany podniosłem się i skierowałem w stronę tarasu.

A.R: A co się dokładnie działo na sali?

H.K: Na sali było duże zamieszanie. Ludzie tłoczyli się przy wyjściu. Trzeba było też pomagać leżącym na łózkach i wypychać ich na taras. To było o tyle trudne, że tam w drzwiach wyjściowych był próg i każde łóżko z chorym trzeba było dodatkowo unosić i dopiero wtedy można było wypchnąć je na zewnątrz. Sam pomogłem wywozić jednego, dwóch takich pacjentów leżących na łózkach i po tym poczułem się taki zmęczony, że poszedłem prosto na schodki tarasu, na których usiadłem. Musiałem na nich zasnąć, bo znowu nie bardzo pamiętam, co dalej się ze mną działo.

A.R: Kiedy się Pan ocknął?

H.K: Obudziło mnie uderzenie karabinem w ramię - na szczęście to zdrowe ramię - i zobaczyłem nad sobą Niemca, który kazał mi się podnieść.

A.R: A pozostali ludzie zgromadzeni na tarasie, co się z nimi działo?

H.K: Część osób dalej stała na tarasie, pozostali pewnie zostali w szpitalu, w salach. Nie wiem dokładnie, ale tak pewnie było, bo mówi się przecież, że wiele osób w tym szpitalu wtedy spalono. Wiem, że jak ja wyszedłem na jezdnię to sala praktycznie już się cała paliła. Było już ciemno, a światło i ciepło odchodziło od tego palącego się szpitala. W pewnym momencie, jak staliśmy tak w grupie, przy bramie na ul. Leszno, zrobiło się zamieszanie. Jak się okazało przyszli lekarze i pielęgniarki ze szpitala na Płockiej, ci, którzy ocalili - bo tam też w nocy z 5 na 6 sierpnia Niemcy mordowali i ludzi i personel.

A.R: Chcieli Wam pomóc?

H.K: Oni dowiedzieli się, że pali się szpital przy ul. Leszno. To był szpital dziecięcy, więc przybiegli, żeby ratować dzieci, które tu leżały. Niemcy zgodzili się wpuścić do środka pielęgniarki i one zaczęły z łóżeczek wyciągać kolejno dzieci. Zawijały je w to, co miały pod ręką i wносиły na zewnątrz, kolejno układając na trawie. Po jakimś czasie Niemcy kazali siostram pozabierać te leżące dzieci, gdyż wzmożła się strzelanina i razem z nami zagonili je do drewnianej komórki, która znajdowała się pod parkanem palącego się pawilonu szpitala. W komórce zamknięci zostaliśmy na skobel i tam gdzie, kto mógł siadał albo na pozbijanych deskach, albo na skrzyniach albo na ziemi. Tak przeczekaliśmy do rana. Rano obudziły nas strzały, skierowane jak się okazało prosto w drzwi komórki. Strzelało w nie dwóch Niemców, którzy ranili w rękę jednego z lekarzy, siedzącego najbliżej drzwi. Po chwili weszli do środka i kazali wszystkim wychodzić na zewnątrz. I tu muszę przyznać, że w tym momencie coś mnie tknęło. Nie wiem jak i dlaczego, ale pomyślałem, że jak wyjdę teraz bez dziecka to na pewno mnie rozwałą. Zwróciłem się, więc do jednej z sióstr, która trzymała dwoje dzieci na rękach z prośbą, żeby mi jedno dała. Ale ona nie bardzo chciała. I muszę przyznać, że ja zabrałem jej jednego dzieciaka na siłę. Zanim się uszarpałem z tą siostrą to byłem już jednym z ostatnich, którzy tą drewnianą komórkę opuścili. Położyłem zawinięte w becik dziecko na rękę, którą miałem w temblaku i tak wyszedłem na zewnątrz.

A.R: Dołączył Pan do grupy?

H.K: Tak i nawet się zdziwiłem, że początkowo nikt ode mnie nic nie chciał, ale w pewnym momencie Niemiec, dogonił mnie i pyta: „Co jest”?, A ja mu na to odpowiedziałem, że jestem mieszkańcem pobliskiej kamienicy, na którą spadła bomba, żona nie żyje, a ja ranny razem z dzieckiem trafiłem do tego szpitala.

A.R: Uwierzył Panu?

H.K: Chyba tak, bo o nic więcej nie pytał, odwrócił się i wrócił pod drzwi tej drewnianej komórki i czekał chyba aż wszyscy stamtąd wyjdą.

A.R: Co się dalej działo z waszą grupą?

H.K: Wszyscy zaczęliśmy iść w kierunku ul. Młynarskiej. Szedłem jednak bardzo powoli, bo byłem już i wycieńczony i zmęczony i na dodatek bardzo głodny, bo od 4 dni nic przecież nie jadłem. Dlatego też od samego początku nie mogłem nadążyć i cały czas szedłem jakieś 50 metrów za nimi. Jak doszliśmy ul. Górczewską do ul. Tyszkiewicza, to tam jest taki lekki zakręt i cała grupa mi na tym zakręcie zniknęła. A ja widzę, że na przeciwko mnie idzie dwóch Niemców: jeden oficer, a drugi podoficer. Wtedy przyszła mi taka bezczelna myśl, że ja do nich podejść i poproszę, żeby mi tego dzieciaka potrzyimali. Bo musi Pani wiedzieć, że to dziecko cały czas mi się wyslizgiwało, a ja nie umiałem sobie pomóc jedną zdrową ręką.

A.R: Podeszedł Pan do nich?

H.K: Tak, podeszedłem. W samych skarpetkach, chodnikiem posypanym szkłem.....Ten oficer wziął to dziecko na ręce, a ja sobie wtedy poprawiłem koc, którym byłem przykryty.

A.R: Aż nieprawdopodobne...

H.K: Tak, trudno w to uwierzyć, ale tak właśnie było. Zapytałem się tych Niemców, gdzie jest szpital. Ten, który trzymał tego dzieciaka pokazał mi ręką, w kierunku ul. Płockiej, że tam jest szpital i żebym szedł w tamtym kierunku. Co ciekawe na rogu ul. Płockiej i Górczewskiej stali Własowcy z karabinem maszynowym i oni z daleka widzieli chyba jak ja z tym niemieckim oficerem rozmawiam. Przypuszczam, że pewnie, dlatego jak niedaleko nich przechodziłem, to do mnie nie strzelali.

A.R: Doszedł, więc Pan do szpitala na ul. Płockiej.....

H.K: Tam stało dwóch żandarmów przy bramie głównej od ul. Górczewskiej i ja ich też po niemiecku spytałem gdzie jest szpital, a oni mi wskazali bramę i mówią „Proszę tu jest”. Miałem problem, żeby otworzyć te wielkie, metalowe drzwi prowadzące do szpitala. Wszedłem na korytarz i tam zobaczyła mnie jakaś sanitariuszka – pielęgniarka. Zapytała skąd ja się tu z tym dzieckiem znalazłem. Zabrała je ode mnie i gdzieś poszła. Po chwili wróciła i mną się zajęła. Pamiętam, że jak szliśmy korytarzem szpitalnym to tam leżeli jeszcze zabici ludzie. Sam widziałem dwa albo trzy ciała. Pielęgniarka znalazła dla mnie wolne łóżko, kazała się na nim położyć i przyniosła czyjaś kartę. Powiedziała jak się teraz będę nazywał.

W ogóle kazała mi udawać najlepiej zabitego, bo Niemcy potrafili jeszcze wpaść do tego szpitala i zabijać.

A.R: A dziecko, co się stało z tym dzieckiem?

H.K: Dziecko zabrała pielęgniarka i do dzisiaj nie wiem, kto to był. Nawet nie wiem czy to był chłopiec, czy dziewczynka. Nigdy więcej już go nie zobaczyłem...

A.R: A jak pamięta Pan pobyt w szpitalu na Płockiej?

H.K: Pamiętam, że jak się rano obudziłem, to dostałem do jedzenia rozgotowaną główkę kapusty. Pielęgniarka kazała mi się najeść i po południu zabrany zostałem na I piętro do sali, w której było nas wszystkich 12-15 osób.

Obok mnie leżał 12 letni chłopczyk, Andrzejek z Orlej, który poszedł z butelką na czołg przy Hali Mirowskiej. Strzelili do niego z CKM-u i miał obie nogi przestrzelone. Z jedną było nawet w porządku, goiła się, ale w drugiej wyrwaną miał prawie całą łydkę. Było widać dwie kości. I ten Andrzejek bardzo cierpiał... W między czasie umarł też porucznik Orłow, który leżał ze mną na sali. On miał uszkodzony kręgosłup, minimalnie ruszał tylko jedną ręką. Miał 25 lat i większość czasu był nieprzytomny. Jak odzyskiwał przytomność to cały czas pytał się nas, czy będzie żył. Straszne to było dla nas....

W szpitalu po 2-3 dniach skończyła się żywność i przez tydzień żywiliśmy się samymi pomidorami, które rosły niedaleko szpitala. Teraz w tym miejscu stoi pomnik, na rogu Płockiej i Górczewskiej. Wtedy rosły pomidory. Na jedną osobę dziennie przypadało około 5 sztuk. Po tym zarzekałem się, że nigdy więcej nie będę już jadł pomidorów! Gdzieś koło 20 sierpnia przyjechała z woźnicą furmanką siostra zakonna i przywiozła do kuchni jedzenie: mąkę, kaszę, ziemniaki, marchew itp. i od tego momentu już w każdy wtorek i piątek przywozili do szpitala takie zapasy. Pamiętam, że we wtorki każdy ranny dostawał dwa jajka, szklanek cukru i ćwiartkę chleba. Ja robiłem z tych jajek i cukru kogel mogel i jadłem go razem z chlebem.

1 września z okien szpitala widzieliśmy też jak wyganiaли Starówkę, Ludzie szli z tobołkami cały dzień od Górczewskiej do Płockiej i skręcali w Wolską w kierunku kościoła św. Stanisława....

A.R: Czy w szpitalu docierały do Was jakiegokolwiek wieści o losach kolegów z Batalionu?

H.K: Nie, nic nie było wiadomo. Wiedzieliśmy tylko, jak padła Starówka, ale gdzie się znaleźli nasi chłopcy i jakie były ich losy, nikt od nas nic nie wiedział.

A.R: Czuł się Pan co raz lepiej?

H.K: Tak, pomału dochodziłem do siebie. Miałem dobrą opiekę lekarzy, którzy już na samym początku mnie odwiedzili i zbadali. Opatrunków już wtedy nie mieli, więc nowych mi nie

założyli. Ale przez cały pobyt w szpitalu przychodzili do mnie raz na 4-5 dni i przemywali mi ranę takim żółtym płynem, chyba rivanolem.

A.R: Jak długo został Pan w szpitalu na Płockiej?

H.K: Zostałem tam gdzieś do połowy września. Pewnego dnia, „Pani Stasia”, która przyjeżdżała do szpitala na Płockiej załatwiać jakieś sprawy, powiedziała mi, że może skierować ludzi, którzy poruszają się o własnych siłach do kolejki EKD. Ja się do niej zgłosiłem, ale ona zgodziła się mnie wyprawić dopiero w drugim transporcie, jak uda się przeprowadzić szczęśliwie ludzi idących pierwszym. I rzeczywiście razem z innymi osobami wyszedłem z drugim transportem. Ze szpitala część jechała na wozie, a część szła piechotą. I tak dotarliśmy do Opaczy koło Warszawy. Znałem te okolice, bo jeździliśmy tam ze Staśkiem Krawczykiem i Kubą Okolskim do jego rodziny ścinać żywoplot. Wysiedliśmy w Podkowie Leśnej i tam zaprowadzono nas do takiego Pałacyku, gdzie byli już inni uciekinierzy, jak nas wtedy nazywano.

Mieszkaliśmy tam w dużym 20 osobowym pokoju, na podłodze, którego rozłożona była słoma, a raczej już sieczka. I tam na tej sieczce pod różnymi prześcieradłami i kocami tak spaliśmy.

A.R: Co pamięta Pan z pobytu w Podkowie Leśnej?

H.K: Zdobyłem tam ubranie, bo przecież ze szpitala wyszedłem w koszuli i kalesonach. Głupio mówić, ale zrobiłem jak inni zakwaterowani w Pałacyku i któregoś dnia odważyłem się i poszedłem do sąsiedniego domu. Stamtąd z szafy, wziąłem koszulę, spodnie, buty, czapkę, marynarkę i nawet znalazłem jesionkę w żółtym kolorze, która była na mnie za duża, sięgała mi do kostek. Zamieniłem ją potem z jednym chłopakiem z Pałacyku, który był jeszcze wyższy od Staszka Śwista. Dostałem od niego bardzo ładną marynarkę, taką dyplomatkę. W życiu nie miałem takiej dobrej jesionki, jak wtedy. Służyła mi jeszcze potem parę lat po wojnie.

Pamiętam też, jak którejś niedzieli poszliśmy dużą grupą do kościoła, niedaleko stacji w Podkowie Zachodniej. Wtedy ksiądz bardzo nas wkurzył, bo podczas mszy użył takiego zwrotu: „te łobuzy, które doprowadziły do zniszczenia Warszawy”. Ktoś mu coś z ławki na to nieładnie odpowiedział i wtedy prawie połowa ludzi ze mszy wyszła. Ja też wtedy wyszedłem z kościoła, a msza została przerwana.

Niedługo po tym postanowiłem się pożegnać, odmeldowałem się z Pałacyku i skierowałem się do mojej rodziny pod Łowicz. Najpierw kolejką pojechałem do Grodziska, a potem już ruszyłem na piechotę 6 km w stronę Jaktorowa, do wsi Boczki⁷, gdzie mieszkała rodzina ze strony mojej mamusi.

⁷ Obecnie Boczki Wypiańskie

A.R: Doszedł tam Pan bez żadnych problemów?

H.K: Po drodze, jak już minąłem Jaktorów, spotkałem chłopca, który zatrzymał mnie i zaprosił na obiad. W życiu takiego obiadu nie jadłem! Spędziłem tam u niego ze dwie godziny, opowiadając, co się ze mną od 1 sierpnia działo. On sam jak się okazało był z rodziną przesiedloną z Poznańskiego, w te tereny. Żegnając się dostałem od niego na drogę pół bochenka chleba. Poradził mi też, żebym do Boczek szedł nie przez wsie, ale polami. I ja go wtedy posłuchałem. Szedłem tak przez pola, jak ten powstaniec - bohater Żeromskiego z „Wiernej rzeki”. Doszedłem do mostu nad Bzurą, koło wsi Kompina i tam zobaczyłem stojącego strażnika. Zanim zdecydowałem się przejść przez most, postanowiłem trochę tego strażnika poobserwować. Usiadłem i jedząc chleb z pewnej odległości patrzyłem na niego, co robi. On jednak nikogo nie zatrzymywał, dlatego podszedłem bliżej i wsiałem do chłopca, który z pługiem wracał akurat z pola. Przejechaliśmy przez most nie zatrzymywani.

Zanim doszedłem do Boczek to jeszcze jedną miałem przygodę. Zaraz przy samej szosie warszawskiej, którą musiałem przejść kierując się na Bełchów była szkoła i dochodząc do niej zobaczyłem, że przy bramie stoi żandarmeria z Warszawy. Przestraszyłem się, że mnie zatrzymają, ale znowu miałem szczęście, bo jak dochodziłem do nich, to akurat motor nadjechał i żandarmi zajęci byli otwieraniem i zamykaniem motocykliści bramy. Skorzystałem z okazji i przeszedłem obok nich znowu nie zatrzymywany. Tak doszedłem do wujostwa.

A.R: Rodzice ucieszyli się jak Pana zobaczyli?

H.K: Rodziców akurat nie było w Boczkach, bo poszli z wizytą do pobliskiej wioski odwiedzić innego wujka z rodziną. Dzień po moim przyjeździe jednak wrócili, bo mamie mojej się przyśniło, że ja już u wujostwa w Boczkach jestem. I tak się spotkaliśmy.

A.R: Jaki był los Pana rodziców od wybuchu Powstania?

H.K: Tatusia Niemcy wywieźli pociągiem pod Koluszki. Zatrzymali pociąg w polu i wszystkim kazali z niego wyjść i odejść w dowolnym kierunku. Tatuś wrócił, więc pod Łowicz, właśnie do Boczek. Z kolei mamusia była pielęgniarką i jako obsługa rannych wywieziona została do szpitala do Milanówka, gdzie założono szpital. Była tam przez tydzień i po tym tygodniu też pojechała na wieś, do swojej rodziny. Tam spotkała tatusia. A ja dojechałem do nich na końcu.

A.R: A miał Pan jakieś rodzeństwo?

H.K: Nie, rodzeństwa żadnego nie miałem.

A.R: Kiedy wróciliście z Boczek do Warszawy?

H.K: Już po tzw. „wyzwoleniu”. Rodzice pod koniec stycznia, a ja jakieś dwa tygodnie później. Chcieliśmy się upewnić, że nic mi nie grozi i nikt o mnie nie pyta. Doszedłem do

Kompiny, leżącej przy szosie warszawskiej, tam zatrzymałem jakiś samochód i kierowca na rogatkach Warszawy mnie i innych, którzy wtedy ze mną wracali, wysadził. Potem już na piechotę przez Wolską, Towarową, Alejami Jerozolimskimi w stronę szpitala na Lindleya, aż do Oczki szedłem na piechotę.

A.R: Jaki to był widok?

H.K: Straszny, wszystko było rozwalone i spalone. Jak przechodziłem Al. Jerozolimskimi między Placem Zawiszy, a Starynkiewicza to gruzy leżały gdzieś na wysokości 5 metrów, którymi trzeba było przejść, jeśli chciało się dostać na drugą stronę.

A.R: A wasz budynek mieszkalny przetrwał?

Budynek nasz, w którym mieszkaliśmy na szczęście nie został zniszczony, był nawet dach, chociaż ten był postrzelany i uszkodzony. Z kolei mieszkanie nasze było otworzone i splądrowane. Wszystkie rzeczy z szafy i bielizniarki były porzucane, nawet garnki leżały na podłodze. Co lepsze ubrania, rzeczy były zaś pozabierane. Najważniejsze dla mnie było to, że przetrwały wszystkie nasze dokumenty, które przed Powstaniem zakopaliśmy w piwnicy. Był tam m.in. akt ślubu moich rodziców, moje świadectwa szkolne i zdjęcia, jeszcze przedwojenne! Dlatego ja mam dużo zdjęć sprzed wojny, z harcerstwa i z czasów okupacji. Te dokumenty znalazł Pan Odolski, nasz sąsiad z I piętra i on je rodzicom przyniósł. Zakopanych w piwnicy kosztowności, biżuterii jednak już nie było. Ktoś musiał je wykopać i zabrać.

A.R: W jaki sposób nawiązał Pan ponownie kontakt z kolegami z Zośki? Brał Pan udział w ekshumacjach i pogrzebach na początku 1945 r.?

H.K: Nie, ja w tych pogrzebach nie brałem udziału. Jak wróciłem do Warszawy to najpierw z rodzicami i wujkiem, który z nami zamieszkał szukaliśmy jedzenia, bo tego przede wszystkim wtedy brakowało. Potem zacząłem szukać pracy w zawodzie, jako technik samochodowy. Najpierw pracowałem na Targowej w warsztacie samochodowym, potem jak stamtąd odszedłem szukałem zajęcia przez Urząd Pracy, który na poustawianych na zewnątrz stołach zorganizowano przy Placu Szembeka i stamtąd trafiłem do pracy do PKS-u, wtedy PUS-u - Państwowego Urzędu Samochodowego. Do pracy w PKS- ie zostałem przyjęty 8 maja 1945 r., w dniu zakończenia II wojny światowej.

Ze środowiskiem Zośki kontakty odnowiłem dopiero w 1980 r., poszliśmy razem ze Staśkiem Krawczykiem i mnie, od razu, na pierwszym spotkaniu wybrali koledzy na skarbnika, którą to funkcję pełnię do dzisiaj.

A.R: Nie wiedział Pan, że niektórzy koledzy dalej się spotykają?

H.K: Wiedziałem. Już w 1946 roku idąc któregoś dnia Alejami Jerozolimskimi, pomiędzy Emilii Plater a Chałubińskiego spotkaliśmy ze Staśkiem Krawczykiem Janka Anodę. On nam wtedy powiedział, że się spotykają i proponował, żebyśmy do nich dołączyli, ale nie bardzo chcieliśmy brać udział w tych spotkaniach. Mieliśmy już dosyć ostatnich przeżyć, a ponadto

chcieliśmy się uczyć, iść na studia. Ponadto w grudniu 1946 r., w drugi dzień świąt ożeniłem się z moją żoną. Zaraz urodziła się nam córka, potem 4 lata później syn.

A.R: Rozumiem, że nie ujawnił się Pan, że był w AK-a?

H.K: Nie, nie ujawniłem się. Ale prawdopodobnie i tak o mnie wiedzieli. Nie tylko mnie śledzili, ale już na drugi dzień zawołali mnie do kadr w PKS-ie i tam przedstawiono mnie jakiemuś Panu, który powiedział, że jest z Urzędu Bezpieczeństwa i kazał mi pisać życiorys. Potem dwa razy w tygodniu musiałem pisać go, za każdym razem od nowa. Trwało to pół roku i po tym czasie dali mi spokój. Nauczyłem się przez ten czas swojego życiorysu na pamięć i nawet przecinki i kropki stawiałem w tym samym miejscu, co mi zresztą zarzucano. Pomijałem oczywiście mój udział w Powstaniu Warszawskim, jako żołnierza Baonu Zośka.

A.R: Kiedy zaczął Pan studia?

H.K: Już w 1945 roku na jesieni, ale potem przerwałem je, bo dowiedziałem się, że wydział mechaniczny, którego nie było w Warszawie, otworzyli w Łodzi. Po zdanych egzaminach dostałem się na Politechnikę Łódzką na rok 1946/47. Później jednak otworzyli kierunek mechaniczny w Warszawie i dlatego przenieśli dokumenty na Politechnikę Warszawską i chodziłem już uczyć się na Poznańską.

Studia te jednak po dwóch miesiącach porzuciłem, z powodu prof. Pogorzelskiego, którego sposób nauczania nie odpowiadał mi, a także mojej małżonki, z którą w 1946 r., tak jak już mówiłem, postanowiłem wziąć ślub. Na studia jednak wróciłem, uczestnicząc wcześniej w kursach doszkoleniowych na wyższe studia, które prowadzone były w PKS-ie. W 1960 roku przyjęty zostałem na Wieczorowe Studia Inżynierskie Politechniki Warszawskiej na ul. Narbutta. Pracę dyplomową broniłem w 1966 r., w tym samym czasie jak córka zdawała maturę.

A.R: Cały czas pracował Pan w PKS-ie, aż do emerytury?

H.K: Pracowałem najpierw, jako główny dyspozytor w PKS-ie, m.in. wprowadziłem wtedy zasadę, że na jednym autobusie jeździ zawsze ten sam kierowca. Później zasadę tą przyjęło MZK i do dzisiaj jest ono w obu firmach stosowane. W latach 70 -tych poszedłem pracować do centrali PKS-u na ul. Grójecką, jako zastępca naczelnika przewozów pasażerskich, gdzie m.in. brałem udział w pierwszych pracach komputerowych. Komputer znajdował się w Łodzi i zajmował cały gmach trzy piętrowego budynku. Jako pierwszy w Polsce układałem na nim rozkład jazdy kierowców i autobusów. Przed samą emeryturą pracowałem jeszcze przez 9 lat w Orbisie. Na emeryturę poszedłem 1 października 1982 roku.

A.R: Na koniec zapytam jeszcze o Andrzeja Morro, czy znał go Pan i ma jakieś wspomnienia z nim związane?

H.K: Nie, ja Andrzeja nie znałem. Jeśli go widziałem to tylko w pierwszych dniach Powstania w Telefunkenie. Pamiętam za to Felka⁸, którego imieniem nazwano nasz pluton. Felek przyjmował ode mnie przysięgę, którą składaliśmy 11 listopada 1942 roku w mieszkaniu Kuby na Lindleya. Kuba mieszkał w dużym mieszkaniu, jak na syna dyrektora szpitala przystało i z siedmiu pokojów, które zajmował z rodzicami, cały jeden od podłogi po sufit wyłożony był flagami niemieckimi. Tam składaliśmy przysięgę. Czerwona lampka przykryta jakimś materiałem zastępowała nam ognisko. Stasiek Krawczyk stał wtedy na obstawie, a poza mną i dwoma innymi kolegami, którzy składali wtedy przysięgę był też tam z nami Anoda. Pamiętam jak wygłupiał się i przebrany za Niemca śpiewał różne, śmieszne piosenki. Jedna leciała jakoś tak: „*Po Berlinie sobie tuptam, widzę trupka tu i tam....*” Anoda był niesamowitym kabareciarzem, a jego dowcip był zawsze bardzo inteligentny.

A.R: **Wszyscy Zośkowcy bardzo ciepło i serdecznie wspominają Anodę...**

H.K: Tak, Anoda był bardzo dobrym kolegą i tak naprawdę to on wszystkim rządził. Wszędzie, całe życie, ile razy go spotkałem, to on był zawsze najważniejszy. Mimo, że Kuba był dowódcą, a ten zastępcą to on i tak zawsze mówił, co mamy robić, on decydował. Bardzo go wszyscy lubiliśmy.

A.R: **Po takich słowach, jeszcze bardziej chciałoby się Janka Anodę osobiście poznać. Bardzo dziękuję za wywiad.**

14 grudnia 2005 r.

⁸ Feliks Pendelski „Felek”, pfm sierżant pchor., zginął w dniu 6 czerwca 1943 r. w Woli Pękoszewskiej podczas odwrotu po akcji pod Czarnocinem.